

● **Dziki zachód.** Do redakcji „Innych Obliczy Historii” napisał pan Łukasz Kazek z Gór Sowich. Spisał i przysłał nam bardzo ciekawe wspomnienia swego dziadka, Wojciecha Szczeciniaka, który zmarł w 2001 r. Dziś publikujemy fragment tego listu. Dla wyjaśnienia – Wojciech Szczeciniak trafił na tzw. dziki zachód, czyli ziemie odzyskane, w 1945 r. Otrzymał gospodarstwo w okolicach Świdnicy, we wsi wtedy jeszcze noszącej nazwę Hausdorf, a w domu, który sobie wybrał, mieszkała ciągle niemiecka rodzina... Oddajmy mu głos:

Urząd ds. Repatriantów w Świdnicy, 3 września 1945 r.

– Obywatelu Szczeciniak, pozwólcie z dokumentami.

Wstałem szybko z ławy, podniosłem swój plecak i dziarsko ruszyłem do pułkownika Ludowego Wojska Polskiego. Ten, oglądając moje dokumenty, podniósł wzrok i zapytał krótko:

– Na kogo ma być gospodarka? Na ojca, czy na ciebie? Ojciec za stary, nie dostanie.

– Obywatelu pułkowniku, ja będę gospodarzem, mam jeszcze dwóch braci, damy radę.

Z odpowiednimi dokumentami, z furmanką, o godzinie jedenastej rano wyjechaliśmy z rynku świdnickiego wraz z porucznikiem Ludowego Wojska Polskiego w kierunku Eule Gebirge. Podczas jazdy porucznik opowiadał, że to nowe ziemie, ziemie odzyskane, będzie nam się dobrze żyło i dostatnio. Ziemie uprzemysłowione, pracy dużo, czas oddać się do reszty ludowej ojczyźnie.

Skęciliśmy w kierunku wsi Hausdorf. Porucznik mówił, że mieszkają tam już pierwsi polscy osiedleńcy, a ja będę ósmy. Miałem rozglądać się po obu stronach drogi i wybrać sobie gospodarkę, w której miałem zamieszkać. Spodobało mi się gospodarstwo na samej górze wsi, zabudowania solidne, dom zadbane. Krzyknąłem głośno, wstając na równe nogi:

– Obywatelu poruczniku, tę chciałbym wziąć!

– No to, panie Szczeciniak, rzucać tobołki, to wasz nowy dom!

Wysiadłem z furmanki, rozglądałem się dookoła. O zgrozo, mój Boże! Wszędzie wokół gospodarstwa były płoty, druty i baraki. Obraz dobrze mi znany, gdyż byłem więźniem Oświęcimia. Wróciłem do porucznika ze łzami w oczach.

– Zabierajcie mnie stąd! Ja nie chcę tu mieszkać! Zbyt dobrze pamiętam Oświęcim. Co to za miejsce!?

W obejściu była rodzina niemiecka, dwóch mężczyzn, kobieta i pięcioletnie dziecko. Dziwnie nam się przyglądali. Dostałem szału i, nie patrząc na porucznika i żołnierzy na wozie, krzychałem głośno:

– Jak mam tu k...a mieszkać?! Wokół baraki, druty i Niemcy ze mną w domu?!

Porucznik uspokajał mnie, mówiąc:

– Towarzyszu, spokojnie, spokojnie. Warszawa potrzebuje materiałów budowlanych. Rozbierzemy wszystko do ostatniej cegły, a ty tu gospodarz ku chwale ludowej ojczyzny.

– A oni? – wskazałem palcem na rodzinę niemiecką.

– Chłopie tu teraz Polska, nie Niemcy! Nimi się najmniej zajmuj, wyrzucimy ich stąd na zbity pysk.

Cóż było robić, wracać nie było gdzie, może rzeczywiście partia i te ziemie odzyskane to ten spokój po sześciu latach wojny? Podziękowałem za przywózkę i dałem litra samogonu porucznikowi. Niemcy, szczególnie mężczyźni, patrzyli spode łba, porucznik coś im tłumaczył, pokazując palcem na mnie. Wszyscy oni stali w milczeniu, tylko ta mała dziewczynka, karmiąc kury, uśmiechała się do mnie. Dom został podzielony, ja zająłem pierwsze piętro, a Niemcy zostali na dole. Z pierwszymi osadnikami, pijąc bimber pierwszego dnia, dowiedziałem się, co to za niemiecka familia, po których będę miał gospodarkę. Rainold Pasler to gospodarz, jego żona Klara, teść Julius Kramer i córka Rainolda Heidi. Kramer miał 75 lat, Rainold gdzieś około czterdziestki, miał sparaliżowaną rękę, wszyscy na wsi wiedzieli, że został ranny na froncie zachodnim w 1940 r.

W pierwszych dniach nie rozmawialiśmy w ogóle, mijaliśmy się w milczeniu. Jakies cztery, pięć dni po moim przyjeździe, przy śniadaniu, bo kuchnia była w niemieckiej

części domu, Rainold zapytał mnie:

– Wojty, sprechst Du Deutsch?

Zrobiłem minę niedojdy wiejskiego, jakbym usłyszał chiński. Rainold skwitował to, mówiąc do teścia, że jestem typowym polskim idiotą i ciemniakiem. Rozumiałem język niemiecki bardzo dobrze, pobyt w Auschwitz i przymusowe roboty pod Krakowem na lotnisku Balice dały mi solidną lekcję. Nie chciałem zdradzać, że znam niemiecki. Wyostrzone przez sześć lat wojny zmysły nakazywały milczeć i obserwować. W niedzielę wybrałem się oglądać to, co w pierwszym dniu przyjazdu ścięło mnie z nóg. Baraków było dużo, jeden obok drugiego, rząd nad rzędem aż do samego lasu. W nich pasiaki w nieładzie rozrzucone na pryczach, na ścianach napisy, bardzo dużo napisów – kredą, węglem, drapanie, nieraz całe adresy w różnych językach, po żydowsku, bukwy rosyjskie i polskie też. Innych nie znałem, ale po literach było widać, że nie były ani polskie, ani też rosyjskie czy żydowskie. Na tych budkach, co Niemcy pilnowali więźniów, były niedopałki pomiędzy deskami. Za to w kuchni obozowej stała w kotłach z chochlami zupa z brukwi i pokrzyw. Przyszło mi na myśl, że jadłospis w obozach był wszędzie taki sam. Przed kuchnią stał basen, a w nim woda, obok beczki z jakimś cuchnącym płynem. Może tu kąpano i dezynfekowano więźniów – taka myśl przeszła mi przez głowę. W magazynie obok leżał cały stos drewniaków, wziąłem sobie dwie pary, zawsze przydadzą się w obejściu. Zdziwiło mnie, że we wszystkich pomieszczeniach w drzwiach były klucze, a w komendanturze wisiał jeszcze portret Hitlera. Nad barakami w lesie była wielka budowa, szyny kolejek, wózki, warsztaty stolarskie, mnóstwo rur, prętów zbrojeniowych, worków z cementem i duże wejścia do tuneli, z których buchało zimno. Grześków, który pierwszy z nas wszystkich był w Jugowicach, opowiadał, że jeszcze w sierpniu paliło się wewnątrz tuneli. Mówił, że w środku jest bardzo dużo łopat, stempli i sprzętu budowlanego. Ale ja nigdy w życiu nie widziałem na oczy tyle cementu i cegieł. Chodziliśmy rozpruwać worki i w wiadrach i na taczkach woziliśmy ten cement do naszych gospodarstw. Przed tune-

lem stały dwie małe lokomotywy, w baku była ropa, jeździliśmy nimi po wszystkich torach po całych górach. Takich tuneli i obozów było więcej niż tylko ten koło mojej gospodarki. Szybko zorientowałem się, do czego byli potrzebni więźniowie.

Musiałem zameldować się na posterunku MO w Walimiu. Komendant Kunicki powiedział, że w nocy jest tu bardzo niebezpiecznie i żebym znalazł sobie broń. Oficjalnie każdemu z pierwszych osiedleńców wolno było nosić broń. Było jej wszędzie mnóstwo, w komendanturze obozu koło mojego domu w stojakach stały magazyny. Wziąłem więc jeden i go zarejestrowałem na posterunku, komendant wyjaśnił, że jak wysiedlą Niemców, to broń trzeba będzie zdać. Ale ja nikomu nie wierzyłem, wróciłem i wziąłem jeszcze dwa, nikomu nie mówiąc; oficjalnie miałem jeden. W nocy często słychać było strzelaninę w okolicy i głucho wybuchy w górach. Komendant mówił coś o bandach i niemieckich maruderach, którzy napadają na posterunki milicji i domy polskich osadników. Zresztą po godzinie siedemnastej okna i drzwi posterunków zastawiane były workami z piaskiem. Ani milicjanci, ani my nie chodziliśmy w nocy w góry, można było dostać kulę w łeb. Widziałem, jak niektórzy Polacy chodzili z karabinami do Walimia do pracy. Z Niemcami nie rozmawiałem w ogóle, udawałem, że ich nie rozumiem. Nienawidziłem Niemców. Pewnego wieczoru przy kolacji Rainold głośno i śmiało opowiadał teściowi, że jako Niemcy nigdy nie podpiszą obywatelstwa polskiego i będą musieli być wysiedleni. Klara siedziała wtedy zmartwiona, jednak Rainold pocieszał ją, że tu wróć, bo to niemieckie ziemie i Polaczki długo tu nie porzadzą.

– Trzeba nam pochować to, co mamy cenniejsze, aż do naszego powrotu tutaj – mówił Rainold.

Zaczęło się, nie mogłem uwierzyć. Garnitury, porcelana, obrazy, piękne firany, serwety haftowane, dwie harmonie, jedna marki Hess, druga marki Hohner. Wszystkie będą pakować w skrzynie i do stodoły pod klepisko w ziemię. Rainold chował, a ja czekałem. Rainold skończył, ja na drugi dzień o czwartej rano wykopałem, zawoła-



Samochód po niemieckim dyrektorze zakładu w Walimiu Hubercie Wilnerze, w środku Wojciech Szczeciniak, który nim jeździł gdy go nikt nie widział, październik 1945 r.

lem sąsiadów na podwórko i rozpocząłem podział szabru. Jak Rainold wstał i wyszedł na podwórze, mało szału nie dostał. Ja akurat dzieliłem porcelanę – półmiski dałem Jankowi, a talerze dostał Wójcik. Niemiec spojrział na mnie wzrokiem kobry i wysyczał przez zęby:

– Wojty, Wojty, sprechst Du sehr gut Deutsche.

Uśmiechnąłem się szelmowsko i puściłem oko do chłopaków. Później szukałem wszędzie, a baraki obszukałem całe. W komendanturze znalazłem piękną belgijkę, rękojeść miała z masy perłowej. Zapomniałem o Rainoldzie, ale on nie zapomniał. Trzy dni po podziale lupów przyjechał komendant z posterunkowym i zabrali mnie na przesłuchanie na posterunek do Walimia. Otóż Rainold powiedział, że groziłem bronią jemu i jego żonie, że strzelam do zwierzyny w lesie i że zamiast jednego karabinu mam kupę broni w domu. Uderzyłem się przed komendantem w pierś i powiedziałem, że żadnej broni nie mam i nigdy Rainoldowi nie groziłem, a Rainold to bity hitlerowiec i łże jak pies. Niestety komendant stwierdził, że ja w okolicy slynę z tego, że pryciam po barakach, po bunkrach

i szabrownik ze mnie też nie mały. Swojego karał nie będzie, ale trzy dni aresztu, że-bym się uspokoił, muszę dostać. Trzy dni minęły szybko. Jak wychodziłem, powiedziałem Kunickiemu:

– Jak tylko złapię Rainolda, to mu łeb rozwałę!

– Jak spróbujesz, to pójdziesz siedzieć, oni mają tu takie same prawa jak my do czasu, aż ich nie wysiedlimy – powiedział komendant.

Zacisnąłem zęby i wróciłem spokojnie do domu, ale okazja do rewanzu nadarzyła się szybko. Otóż furmanki z żołnierzami na jesieni jeździły po wioskach i zbierały zaopatrzenie, co kto ma i może dać – miarkę ziemniaków, warzywa, słoiki z konfiturami. Wjechali też i do mnie na podwórze. Powiedziałem im, że ja swoich plonów nie mam jeszcze, ale Rainold miał dobre, ziemniaków ma dużo w piwnicy, zaraz pój-dę po klucz i przyniosę. Poszedłem do Rainolda po klucz do piwnicy. Zapytał po co mi klucz, odpowiedziałem, żeby wyjrzał przez okno, to będzie wiedział.

I wyjrzał, splunął na podłogę, przeklął siarczyście i powiedział, że nic mi nie da – ani klucza, ani ziemniaków. Nie dysku-



walem z nim, poszedłem do chłopaków i powiedziałem, że bydlę wyzywa ich od ob-szarpańców i ziemniaków im nie da. Jeden z żołnierzy, jak to usłyszał, powiedział:

– To ja psia mać pod Berlinem gada hitlerowskiego tłukłem, a teraz szwabisko będzie się tu rzucać.

Dawaj do chałupy z Rainoldem, a ja za nimi. Rainold na górę, a żołnierz za nim. Nagle zza drzwi stary Kramer podstawił żołnierzowi nogę i z Rainoldem chcieli mu wyrwać karabin. „Rany boskie!” – pomyślałem. Biegłem i krzychałem po tego, co na wozie. Chłop wysportowany, skoczył i już był na górze w izbie. Jak nie grzmotnął starego kolbą, a ten leży jak długi. Rainold wyskoczył przez okno i uciekł do lasu. Żołnierz repetuje karabin i chce strzelać, ale Rainold biegł zygzakiem. Ćwiczony był dobrze i uciekł w las. Matka płakała i lamentowała, com ja dobrego narobił. Niemiec poszedł w las, bandę sprowadzi, ubiją nas i spalą. Przecież Potaśnik opowiadał, jak ze cztery dni temu obudził się w nocy i chciało mu się pić, zszedł na dół do kuchni napić

się wody. Otworzył drzwi do kuchni, a tam siedziało czterech esesmanów z bronią i plecakami, a Niemra żarcie szykowała, od razu pić mu się odechciało. Wrócił na górę, drzwi szafą zasunął i siedział z żoną do rana wystraszony. Fakt, wybuchy w górach było słyhać, a i nocami nieraz strzelaninę. Byłem młody, nieraz śmierci uciekłem, powiedziałem matce, żeby nie marudziła, jak ma być, tak będzie. Minęły może ze trzy dni, około piątej rano ktoś wali głośno w drzwi od tyłu domu, Niemcy nie otwierają, matka lamentuje:

– Toś teraz narobił, banda z gór przyszła i wszystkich nas zastrzela!

Z duszą na ramieniu poszedłem otworzyć drzwi. Otworzyłem, a to był Rainold, zziębnięty, cały skurczony, wyciągnął do mnie rękę i przeprosił. Ludzie, od tamtej pory Rainold był najlepszym kumplem we wsi, chłop w dechę. Nawet kiedy znalazłem cały mundur oficera SS z odznaczeniami i butami i przebrałem się w niego, siejąc postrach we wsi, to jak przyjechało UB szukać dowódcy partyzantki niemieckiej, to Rainold mnie nie

wydał. Nieraz pytał mnie, czy idę na spacer po barakach, bo mi rower naszykował i nasmarował łańcuch. Ja tam jemu nie wierzyłem, dla mnie do końca była to żyłka hitlerowska, a nuż mi hamulce powykręcał, łańcuch podpiłował, będę jechał z góry, walnę łbem i się zabiję. Tak, tak, on chciał, żeby ja spacerował i nie słyszał, co oni będą za szaber chować. Rower wziąłem, postawiłem za stodołę i tak poszedłem pieszo. Kiedy przyszło im odjeżdżać, był to 1947 rok, mogli wziąć tylko 50 kg bagażu. Rainold stał z plecakiem, Julius miał zarzuconą na plecach szmatę z jakimiś rzeczami, Klara w czarnej sukni trzymała Heidi za rękę. Nigdy więcej już ich nie zobaczyłem. Pomimo tylu dzielących nas rzeczy jedno mieliśmy wspólne – oni szli w nieznane, ja na nieznanym pozostałem.

Już ponad miesiąc gospodaruję na dzikim zachodzie, coraz więcej Polaków przybywa do wsi, a w pobliskim Walimiu zakład Iniański zatrudnia coraz więcej ludzi, jednak Niemcy mieszkają dalej z nami na pół w domach. W fabryce pracuje się pod niemieckimi majstrami, Polska Ludowa nie ma specjalistów ani fachowców we włókiennictwie, oni szkolą nas i uczą wszystkiego. Trzeba przyznać, że pracować to oni umieją bardzo dobrze. Większość napływających ze wschodu nie umie czytać ani pisać, a co dopiero mówić po niemiecku, więc komedie rozgrywają się codziennie.

Do pracy z Jugowic chodzimy z bronią, ja mam mauzera; można nosić broń, komendant Kunicki mówi, że bandy są w górach, każdy powinien mieć broń.

Dziś niedziela, zaraz przyjdą do mnie Grzeško i Wójcik z Nosalem, będziemy grać w karty, wybudowałem taki domek duży ze stołem na drzewie, czeka samogon już przerobiony dwa razy. Wyszedłem na drogę przed gospodarzkę zapalić sobie papierosa – znalazłem cały wagon „Juno” u Rajnolda w skrzyni, krzychał, wyzywał, ale ja szwabiska nie słucham – mało się przez nich nacierpiałem w obozach? Palę sobie tego papierosa „Juno”, w Balicach w juna-kach paliłem też takie same. Pod lasem germaniec orze pole, chociaż to prawie końcówka października, ale piękna pogoda

dziś, to się wcale frycowi nie dziwię.

Skończyłem palić, patrzę na góry i złote lasy, ale fryca na polu nie ma. Widzę, że koń stoi, a jego wcięło, a nie – jest, chodzi po miedzy. U nich jak po orce są kamienie na polu, to dzieciaki i kobity zbierają je i układają na miedzy między polami, tak że takie łańcuszki kamieni są w górach od lat. W tych kamieniach mają takie piwniczki, gdzie jak idą w pole pracować, to chowają tam jedzenie, mleko. Przerwa w robocie – wyciągają i wcinają. Szwabisko kręci się po tej miedzy jakby miał się zes... zaraz, śmiać mi się chce z jego ruchów. Śmieję się, ale powoli mi coraz mniej do śmiechu, on otwiera takie drzwi z ziemi tej piwniczki, rozgląda się dookoła nerwowo i do konia, a na wozie pakunki i dawaj do tej nory pakuje. Skończył pakować i koniem pod las, i tam z lasu na wóz i do piwniczki na miedzę. O rany boskie, toż to szaber niesamowity! Czekam. Jak fryc jedzie pod las, to ja siup drzewami do miedzy. Otwieram tę dziurę, a tam walizek od groma, wielkie kufry, beczki i walizki, na wierzchu takie 4 metalowe walizeczki, więc co się tam będę zastanawiał, Bach! i w rękę trzymam taką małą żelazną walizeczkę. Nagle jak piorun wrzask głośny.

– Halt!!!

Stoję jak wryty, serce mało mi z piersi nie wyskoczy. Z choinek wyskakują dwóch mężczyzn, patrzę, psia jucha, empi w łapach, ale po cywilu, nie w mundurach. Rany boskie! Kłapę pieprznąłem, walizeczkę w rękę i w nogi! Biegnę co sił w nogach, a oni za mną – młodzi, to wyćwiczeni byli. W pewnym momencie strzał jeden, drugi w powietrze, o Wojtuniu, to nie zabawa, czego oni ode mnie chcą, że w biały dzień strzelają?? Walizeczka – przez łeb mi przeszło – musi być cenna, skoro mnie gonią. Ooo, to ja jeszcze szybciej, gałęzie mnie po pysku biją, ale uciekam ile sił. Świst koło ucha, o żesz ty, prują do mnie, ubiją mnie jak psa! Drugi świst nad głową. Puszczam tę walizeczkę. Cisza. Oglądam się jeszcze w biegu – jeden chwytą ją i zwracają, mnie dają spokój. Cały się trzęsę, zlatuję do dolnego Walimia koło zakładu drzewnego, jedna myśl – „na posterunek do mili-

cji dawaj biegiem; o nie, germańcy, zaraz tu będzie z wami porządek!”. Wpadam na posterunek Walimia, od razu w progę krzyczę:

– Panie Kunicki, komendancie! Banda w górach, strzelali do mnie, wielki szaber kryją.

– Gdzie?

– Jugowice Górne, pod lasem koło studni na miedzy.

Mobilizacja pełna – już milicjanci motor odpalają, ja z komendantem w jednym, dwóch w drugim.

– Wojtek, a ty masz karabin? – pyta mnie Kunicki

– Ze sobą nie mam teraz.

– Bierz ten ze stojaka i do przyczepki wskakuj.

Prujemy, ile maszyna daje.

Jesteśmy na miejscu. Patrzę, a na polu ani starego Szwaba, ani konia z wozem już nie ma. Kiwam ręką na miedzę, a piwniczka pusta – trochę widelców tylko i łyżek i rozbity jakiś dzbanek na dole.

– Skurczybyki, schowali, jak do was biegłem – mówię do komendanta.

– Wojtek, a ty pamiętasz, który szwab to chował?

– Pewnie. Dawaj do niego do chałupy!

W chacie siedzą wszyscy w kuchni, jedzą obiad jakby nigdy nic. Wchodzimy, miny mają grobowe.

– Ten tym wozem spod lasa jeździł!

– Wstawaj, Gunter! Gdzie to wszystko jest, co Wojtek mówi? – Kunicki pyta Niemca.

– Śpiewaj mi tu, niemaszku, kto cholera strzelał dziś do Szczeliniaka?!

Cisza, fryc nie rozumie, nic nie wie, mnie dziś w ogóle nie widział.

Nagle jak mu nie wyróżnie w pysk Kunicki, aż pod stół spadł.

– Gadaj, szwabie, dużo takich jak ty pod Kołobrzegiem utlukłem.

Poprawka, jeszcze raz – tym razem kolbą po żebrach.

Niemiec zająszony, Niemki krzyczą, ale zmiękł. Prowadzi do stodoły, siano widłami zrzucamy – jest wóz, a na wozie te beczki, com w piwnicy widział, i kufry, walizy, cały wóz. Ależ tam tego było!

– Konia zaprzęgać i na komisariat

wszystko – decyduje komendant.

Niemiec służalczo wkłada chomąto, za-przęga. Wskoczyłem na wóz, pryham, no nie ma, nie ma tych walizeczek metalowych małych i tej, co żem puścił w lesie!

Mówię Kunickiemu, że to nie wszystko. Tu były jeszcze cztery, może pięć walizeczek metalowych.

– Wołaj, posterunkowy, Niemca mi tu raz dwa!

Idzie milicjant z nim, a on płacze, że nie wie, kto strzelał, że mu kazali wozic to z lasu do piwniczki, on nie wie, kto. Powiedzieli, że jak nie posłucha, to go spalą i zabiją z rodziną, że jak ja uciekałem, to ci dwaj przyszli z lasu, załadowali to, co jest na wozie, a te małe walizeczki zabrali. Powiedzieli, że jak tylko coś powiem, to w nocy przyjdą i zabiją; mam pamiętać, że tu Niemcy niedługo wrócą.

– Patrz, Wojciech, ileż tego jest, chodź na posterunek, wybierzesz sobie parę rzeczy, przecież to twa zasługa, że ten szaber jest nasz – skwitował Kunicki.

– A te walizeczki? – pytam

– A daj spokój z walizeczkami, tu tyle dobra, że nie będziesz pokrzywdzony.

Dwa dni później poszedłem na komisariat, porcelany z beczkami na stole stało mnóstwo i zastaw, były też srebrne tace z łyżkami i widelcami. Dał mi komendant jedną taką tacę i zegar z kukułką, wziąłem sobie też trzy nowe garnitury.

– Reszta idzie pomiędzy milicjantów i sekretarza na zakładzie, a to, co zostanie, do Wrocławia.

Wróciłem do chałupy, matka lament: „Coś ty narobił?!”, ale jak dałem ojcu garnitur, matuli tacę, to lament się skończył.

Zastanawiam się ciągle, co było w tych walizeczkach, w tej, co ja musiałem zostawić, bo by mnie zabili, czemu mnie gonili i strzelali. Po dziś dzień myślę sobie, jaki ja byłem durny – zamiast uciekać do wsi z tej miedzy, to ja w las. Może i bym miał, i wiedział, co w 1945 roku w październiku zmuszony byłem porzucić w lesie oraz kim byli ci, co mnie gonili.

Relacja ta to jedna z wielu jaką po sobie pozostawił mi mój dziadek Wojciech Szcze-



Fotografia z harmonią marki Hess znalezioną w jednym z niemieckich schowków, wrzesień 1945 r.